

Rewolucja następna po ostatniej

30 grudnia 2008

„Doświadczenie uczy, że doświadczenie niczego nie uczy” – mówi stare przysłowie i można to rozumieć dwojako. Tylko wielbiciiele kryminałów Agathy Christie, w których niezmiennie prawa ludzkiej psychiki pomagają rozwiązywać mroczne tajemnice, nie zgodzą się na pierwsze z nich – że nic nie zdarza się drugi raz tak samo, więc doświadczenie może nam pomóc przede wszystkim eliminować pewne możliwości. Drugie odczytanie nawiązuje do przekonania o fundamentalnej ludzkiej głupocie, czy raczej – niewyuczalności. W perspektywie której z dwóch świetnych tradycji należałoby interpretować fakt, że żaden z inkasujących siedmiocyfrową pensję analityków bankowych, mimo wyrafinowania i biegłości w naukach ścisłych, nie sięgnął po Dawny ustrój i rewolucję Tocqueville’a?

Hrabia, ojciec tak wielu nowoczesnych dyscyplin humanistycznych, że trudno się w tym połapać, zasłużył się głównie dlatego, że chciał wiedzieć, czemu miał się urodzić bogaczem, a jednak tego nie zrobił. Czasami określa się go mianem „francuskiego Hegla” – ledwie kilkanaście lat po opublikowaniu Fenomenologii ducha wyciągnął z niej praktyczne wnioski i pojechał badać ustrój Nowego Świata. Kiedy wrócił, zajął się ustrojem Ancien Régime’u. Pewnie jako jeden z nielicznych przeczytał wszystkie kajety skarg i przeanalizował powtórzenia i prawidłowości, a następnie na jedenaście lat przed Kapitałem Marksa (tj. w 1856 r.) opublikował książkę o tym, jak sprzeczności interesów ekonomicznych różnych klas doprowadziły do załamania struktury wymiany gospodarczej i dalej – do rewolucji. Nikt nie wymagałby przecież od amerykańskich ekonomistów dogłębnej znajomości Marksa, ale Alexis hr. de Tocqueville należy do klasyków amerykanistyki („O demokracji w Ameryce”, t. 1 – 1835, t.2 – 1840), poza tym był konserwatystą (opowiadał się za restauracją monarchii

Burbonów), bronił wolnego rynku, położył fundamenty pod nowoczesny liberalizm i ożenił się z córką bogatego angielskiego kupca.

Doświadczenie uczy, że doświadczenie niczego nie uczy. W pierwszym akapicie swej urokliwej książeczki Tocqueville napomina, że nic lepiej nie mogło nauczyć skromności filozofów i mężów stanu, aniżeli historia naszej [tj. francuskiej] Rewolucji – nie było bowiem nigdy wcześniej większego wydarzenia, które gotowałyby się od tak dawna, a jednocześnie przez nikogo nie zostało przewidziane. (A przecież, moglibyśmy dodać, wymagając zapewne zbyt wiele nawet od naszego arystokraty, już Immanuel Kant w Sporze fakultetów z 1798 r. pisał, że jeśli chodzi o rewolucję, to przybędzie znienacka – szkoda tylko, że nie zająknął się nawet o ekonomicznym charakterze nawałnicy.) Rewolucja, pisał Tocqueville, u każdego z nas budzi „des vagues d'espérances, de changements et de réformes”. Tak jakby była szansą, a przecież jest – wymogiem.

Rewolucji nie robią ludzie, rewolucja dzieje się sama. Zerwanie i novum, którymi lubimy ją charakteryzować, nie są jej istotą, ale odbiciem na poziomie społecznych reprezentacji – zdrowego rozsądku, dorobku naukowego, struktur władzy (których wszak podstawowym zadaniem jest nakłanianie rzeczywistości, żeby szła po naszej myśli, tak jakbyśmy potrafili wymyślić rzeczywistość!) i ideologii. Nawet najładniej jednak przystrojona chabeta nie przejdzie po projekcie mostu i nawet porsche cayenne nie pojedzie na samej tylko koncesji naftowej. Kiedy „wielki handel” zaczął się dokonywać na derywatach ekspektatyw promes kredytowych oznaczało to, że oficjalny pieniądz wyceniany jest w istocie przed odniesienie do abstrakcyjnej „zdolności kredytowej” podmiotów gospodarczych. Co za analogia do petrodolarów – waluty opartej na spodziewanym (sic!) urobku paliwa. Już w latach siedemdziesiątych zorientowano się, że siła nabywcza petrodolarów jest równie umowna, co cena sera w PRL. Ale ropę

się przynajmniej wydobywa, a nie zniewala. Choć bardzo się starano nakładać nam neoliberalne, umysłowe i ideologiczne kajdany, okazały się mniej skuteczne niż te metalowe. Tym bardziej, że do kompletu potrzebna była swoboda konsumpcji... Innymi słowy, aby „wydajność kredytową” banku ożenić ze „zdolnością kredytową” jednostki i w ten sposób osiągnąć tzw. realny zysk, którego ekspektatywę można by sprzedać i w ten sposób uzyskać rzeczywiste pieniądze, tak wielkie, że nie bardzo wiadomo, co można by za nie kupić – jedynie chyba włożyć w efektywne instrumenty finansowe, gdzie stałyby się podstawą wypłacenia następnych kredytów... a więc, żeby „zdolność kredytowa” dała się zaciągnąć przed ołtarz, należy ją uwieść i przekonać, że robi to z własnej woli – bo sama chce lodówki, samochodu, pralki, a przede wszystkim własnego dachu nad głową. Stymulująca konsumpcję emancypacja potrafi jednak stanowić siłę subwersywną – kiedy wyemancypowani ludzie, zamiast popuszczać pasa i mieć, wybierają oszczędzanie, żeby żyć. Albo po prostu nie chcą się więcej mnożyć...

Zaawansowane instrumenty finansowe dobrze wypadają w symulacjach, jednak mają jeden zasadniczy problem. Operują na wartościach wirtualnych. Wartości te, dyskontowane (a więc wypłacane jako kredyty), mierzą się w czymś, co się jeszcze nie zdarzyło – nie zostało wyprodukowane, nie przełożyło się na niczyj dobrostan. To nie jest do końca tak, choć chcielibyśmy w to wierzyć, że nasz dobrostan płynący z zakupu domu na kredyt jest tym samym dobrostanem, za który ostatecznie dostaniemy zapłatę – pieniądze, które pójdą na spłatę pożyczki. Być może nasze plany uszczęśliwiania ludzi, tak by płacili nam w żywym pieniądzu, które bank uznał za realistyczne i zobowiązał nas do ich realizowania, spełzną na panewce. I co wtedy z tym zobowiązaniem? Co z domem w niemodnej już dzielnicy, który trzeba by było wyremontować, a nie wiadomo za co? A co, jeśli zamiast wojny kupiliśmy sobie bombę w postaci ostrzeliwanych złóż ropy? Derywaty przeciwko petrodolarom. Nic dziwnego, że w ostatnich latach

najintensywniej promuje się samochody, które dużo palą!

Gdybyśmy czytali Tocqueville'a, rozumielibyśmy, że do tej rewolucji bankowcy przyczynili się sami. Tak jak europejscy arystokraci, kiedy nie zauważyli, że wartość opierana na własności ziemskiej przestaje być relewantna w świecie przeliczanym na roboczogodziny, jak dzicy kapitaliści z epoki wielkich ruchów socjaldemokratycznych, kiedy głodowe stawki politykujących robotników stopniowo ustępowały miejsca na pozycji podstawy wyliczania wartości pieniądza – gwarancjom rządowym, tak jak rządy narodowe, kiedy zaczęły przeliczać swoje waluty na ekspektatywy wydobywania ropy – ropy, fundamentu wówczas światowej gospodarki... Kiedy uniwersalnym fundamentem światowej gospodarki stała się ludzka zdolność kredytowa? Co w obliczu globalnej porażki kredytobiorców stanie się nim teraz? A może wszystko da się jeszcze załatać? Ropa w charakterze punktu odniesienia odpada. Więc może rząd? W 1856 r. pisał Tocqueville podobnie: „Skoro rząd zajął miejsce Opatrzności, zrozumiałe jest, że każdy, kto znalazł się w potrzebie, wzywa jego pomocy.” Historia zwija się w konwulsjach śmiechu: państwo narodowe kolejny raz umacnia międzynarodowy kapitał. Doświadczenie niczego nas nie nauczyło?

Kongres Stanów Zjednoczonych właśnie zdecydował się jeszcze na wypłacenie 700 miliardów dolarów wsparcia. Bez względu na to, skąd weźmie się żywa waluta, faktycznie pomoc tę sfinansują wszyscy podatnicy, w praktyce – najbiedniejsi, płatnicy podatku końcowego VAT, którzy nie mają go już z czego odpisywać. Wyasygnowanie tak ogromnej kwoty oznaczać będzie dramatyczne powiększenie długu narodowego Stanów Zjednoczonych – wypuszczenie kolejnych obligacji, wykupywanych za następne petrodolary i roboczogodziny chińskich robotników przymusowych. Ciekawe, kiedy zaczniemy gwarantować nasze konsumpcyjne szaleństwo połączeniami gruntu. I gdzie? Na Księżycu?

Autor: Agata Czarnacka

Źródło: [„Le Monde diplomatique”](#)